

H. P. LOVECRAFT



DZIWNY WYSOKI DOM WŚRÓD MGIEŁ

THE STRANGE
HIGH HOUSE IN
THE MIST

H.P. LOVECRAFT

DZIWNY WYSOKI DOM
WŚRÓD MGIEŁ

(THE STRANGE HIGH HOUSE IN THE MIST)





DZIWIWY WYSOKI DOM WŚRÓD MGIEŁ

Ranikiem, u brzegu strasznych klifów za Kingsport, z morza podnosi się poranna mgła. Biała i eteryczna wyłania się z głębi oceanu na spotkanie swych braci—chmur, pełna marzeń o podwodnych pastwiskach i jaskiniach Lewiatanów. A później, kiedy letni deszcz bębni o strome poddasza, gdzie zamieszkuje poeci, chmury ronią łzy, by ludzie mogli poznać choć plotki, na temat prastarych, osobliwych sekretów i cudów, o których nocami, jedynie planety opowiadają sobie nawzajem. Kiedy groty trytonów wypełnią się historiami, konchy w starych, zarośniętych wodorostami miastach wygrywają mroczne, dzikie melodie zasłyszane od Starszych Istot. Z głębin unosi się ku niebiosom ciężka, nabrzmiąta opowieściami mgła, lecz oczy skierowane ku oceanowi postrzegają jedynie bezkresną, mistyczną biel, jakby brzeg klifu był zarazem skrajem samej ziemi, zaś pośród bezmiaru dźwięczą swobodnie posępne dzwonki boi.

Na północ, od prastarego Kingsport, strzelają wysoko, ułożone krasowo strome skały, zaś najbardziej na północ wysunięta turnia odcina się na tle nieba, niczym szara skuta lodem burzowa chmura. Samotny, wyniosły szczyt rysuje się szczególnie wyraźnie pośród bezkresnej przestrzeni, bowiem linia brzegowa wcina się ostro w miejscu, gdzie potężna Miscatonic, przetoczywszy swe wody wzdłuż Arkham, przynosi na spienionych lalach legendy leśnych ostępów i drobne, mało znaczące wspomnienia wzgórz Płowej Anglii. Mieszkańcy Kingsport spoglądają na niego, jak inni mieszkańcy portowych miast na Gwiazdę Polarną, obserwują go nocami, kiedy zamarły na tle nieba, przesiania bądź ukazuje ich oczom gwiazdozbiory Wielkiej niedźwiedzicy, Kasjopeji i Smoka. Jest

dla nich jednym z elementów firmamentu i, o czym nie należy zapominać, bywa że on również staje się niewidoczny, jak wówczas, gdy gęste opary mgieł przesłaniają gwiazdy, bądź słońce. Kochają niektóre z tych klifów, na przykład groteskowy profil nazywany przez nich Ojcem neptunem czy krasowe schody zwane Drogą na Grobli, tych ostatnich wszakże lękają się, ponieważ znajdują się niebezpiecznie blisko nieba.

Portugalscy marynarze na sam ich widok żegnają się pobożnie, zaś starzy jankesi wierzą, że wspięcie się po nich – naturalnie gdyby było możliwe – równałoby się czemuś znacznie gorszemu od śmierci. Mimo to, na szczycie owej strzelistej, stromej skały stoi dom, a wieczorami ludzie widzą światła w małych szybach jego okien.

Stary dom był tam od zawsze, a ludzie powiadają, że ten co tam mieszka, rozmawia z porannymi mgłami podnoszącymi się z otchłani, a gdy brzeg klifu staje się skrajem ziemi i dzwonki boi rozbrzmiewają posępnie wśród eterycznego bajecznego bezmiaru, postrzega rzeczy, których nikt inny nie widział. Są to jedynie plotki, bowiem nikt nigdy nie odwiedzał tej zakazanej turni, a mieszkańcy Kingsport nie kierują w jej stronę swoich teleskopów. Letnicy przyglądają się jej niekiedy przez szkła lornetek, lecz nigdy nie dostrzegli nic więcej, prócz szarego, prastarego dachu, spiczastego i krytego dachówką, którego okapy sięgają niemal szarych fundamentów. Letnicy nic wierzą, że w starym domu od stuleci żyje ten sam Gospodarz. lecz nie są w stanie udowodnić swych herezji żadnemu prawdziwemu mieszkańcowi Kingsport.

Nawet Przeróżający Staruch, który rozmawia z wahadełkami zawieszonymi w butelkach, za kupowane rzeczy płaci starym, hiszpańskim złotem, a przed swoim przedpotopowym domem przy Water Street przechowuje osobliwą kolekcję kamiennych idoli, twierdzi że w dziwnym wysokim domu wśród mgieł nic się nie zmieniło, odkąd jego dziad był

jeszcze małym chłopcem, a musiało to być całe wieki temu, kiedy Beldre, lub Shirley lub Powell albo Bernard był Gubernatorem JKMProwincji Massachusetts–Bay.

Któregoś lata do Kingsport zawitał filozof, nazywał się Thomas Olney i podjął pracę nauczyciela w college'u przy zatoce Narrangasett. Przybył wraz z grubą żoną i dokazującymi dziećmi, a jego oczy były zmęczone oglądaniem od lat tych samych rzeczy i snuciem wciąż tych samych, zdyscyplinowanych, rzeczowych myśli. Spojrzał na mgły otulające Ojca Neptuna i postanowił wkroczyć do ich białego świata tajemnic po stromych stopniach Drogi na Grobli.

Dzień po dniu, leżąc na skraju klifu spoglądał poza skraj świata w głąb oceanu, wsłuchując się w brzmienie widmowych dzwonów i dzikie wrzaski jakichś ptaków, być może mew. A potem, kiedy mgła podnosiła się ku niebu i morze stawało się prozaiczne i nudne, schodził do miasta, gdzie krążył w górę i w dół wąskimi alejkami na wzgórzu i chłonał wzrokiem chwiejące się szaleńczo topole, czy ozdobione niezwykłymi kolumnami wejścia do domów będących schronieniem tylu pokoleń tych twardych, dzielnych ludzi morza.

Rozmawiał nawet z Przeróżającym Staruchem, który nie przepadał za obcymi i został zaproszony do jego archaicznego domu, gdzie niskie sklepienia i przeżarta przez korniki boazeria, rozbrzmiewają w najczarniejsze noce echem posępnych, niepokojących monologów.

Oczywiście było nieuniknione, że Olney dostrzeże w końcu szary, nie odwiedzany dom na granicy nieba, na szczycie tej najbardziej wysuniętej ku północy turni stanowiącej jedność z oparami mgieł i firmamentem. Przeróżający Staruch podzielił się opowieścią, którą usłyszał od swojego ojca, o błyskawicy która wystrzeliła pewnej nocy z owego posępnego domu ku wyższym warstwom atmosfery; zaś Granny Orne, której niewielki dom

o dwuspadzistym dachu stojący przy Skip Strcet, pokryty jest niemal w całości mchem i winoroślą, wychrypiała że jej babka dowiedziała się od kogoś o kształtne :h które wypływają ze wschodnich mgieł i wnikają przez pojedyncze wąskie drzwi do wnętrza tego niedostępnego miejsca – są one bowiem umieszczone przy samym skraju klifu od strony oceanu i widać je wyłącznie z pokładów statków znajdujących się na pełnym morzu.

Wreszcie, spragniony nowych osobliwości, pozbawiony typowych dla mieszkańców Kingsport zahamowań i charakteryzującego letników lenistwa, Olney podjął przerażającą decyzję. Pomimo konserwatywnego wychowania, lub może z jego powodu, bowiem monotonia życia rodzi pewną tęsknotę za nieznanym – złożył solenną przysięgę, że wespnie się na zakazaną północną ścianę klifu i odwiedzi niesamowicie stary, szary dom na skraju niebios.

Dość wiarygodnie, jego racjonalne "ja" wnioskowało, iż budynek musiał być zamieszkiwany przez ludzi, którzy docierali doń z głębi lądu, wzdłuż mniej stromego pasma gór rozciągającego się nad ujściem rzeki Miskalonic. Prawdopodobnie wszystkie rzeczy, których potrzebowali, kupowali w Arkham. Musieli wiedzieć, że w Kingsport za nimi nie przepadano, lub być może nie byli w sianie zejść do Kingsport ze względu na stromiznę i surowość południowego zbocza.

Olney przeszedł wzdłuż niższych skał, aż do miejsca, gdzie ogromny pionowy klif wzbijał się na spotkanie niebios i nabrał pewności, że po spadzistym południowym stoku nie mogła wspiąć się ani zejść żadna ludzka istota. Od wschodu i północy góra wznosiła się pionowo na wiele tysięcy stóp ponad spienione fale, tak więc pozostawała jedynie strona zachodnia, w głębi lądu, od strony Arkham.

Wczesnym sierpniowym rankiem, Thomas Olney wybrał się na poszukiwanie ścieżki, która mogła doprowadzić go na szczyt tej

niedostępnej turni. Wygodnymi, mato uczęszczanymi drózkami podążał na północny zachód, minął Staw Moopera i starą, ceglana prochownię, skąd pastwiska pięły się coraz bardziej stromo ku łańcuchowi gór nad ujściem Miskatonic, ukazując wspaniałą panoramę białych, georgiańskich wież Arkham w oddali i rozległej połaci łąk po drugiej stronie rzeki. Odnalazł tu cienistą drogę do Arkham, ale nie natrafił na ścieżkę, która prowadziłaby ku brzegowi.

Strome brzegi przy ujściu rzeki zajmowały rozległe lasy i pola, które sprawiały wrażenie nie tkniętych ludzką ręką; nie dostrzegł kamiennego murka ani choćby jednej zbłąkanej krowy, a jedynie wysokie trawy, olbrzymie drzewa i gęste kępy wrzosu, które mogli już widzieć pierwsi Indianie. Kiedy piął się wolno ku wschodowi, coraz wyżej i wyżej, ponad ujściem rzeki i zarazem bliżej morza, w miarę jak droga stawała się trudniejsza, począł zastanawiać się, jak mieszkańcy owego niepokojącego domu mogli utrzymywać kontakt z zewnętrznym światem i czy często odwiedzali targowisko w Arkham.

Naraz drzewa przerzedziły się i daleko w dole, po prawej ujrzał wzgórze oraz prastare dachy i wieżyce Kingsport. Z tej wysokości nawet Central Mili wydawało się maleńkie, zaś starożytny cmentarz przy Szpitalu Kongregacji, pod którym, jak krążyły plotki znajdowały się jakieś przerażające pieczary czy jaskinie, był prawie niewidoczny.

Teren przed nim był z rzadka porośnięty trawą i kępami jeżyn, za nimi zaś wznosiła się naga skała turni i cienka iglica przeraźliwego szarego domu. Masyw stał się wyższy, a Olneyowi aż zakręciło się w głowie, gdy uświadomił sobie, iż był sam, tak wysoko, że nieomal mógł dosięgnąć nieba, na południe od niego znajdowała się stroma skalna ściana opadająca do Kingsport, na północy zaś pionowy, niemal milowej wysokości klif sięgający ujścia rzeki.

Nagle, tuż przed nim, otworzyła się ogromna przepaść szerokości dziesięciu stóp i musiał opuścić się na rękach i zeskoczyć na ukośne, nierówne podłoże a następnie wspiąć się po niebezpiecznych i niepewnych występach w przeciwległej ścianie rozpadliny. A więc to była droga, którą pokonywali mieszkańcy domu na granicy pomiędzy niebem a ziemią?

Kiedy wygramolił się ze szczeliny, wokoło już poczęła gromadzić się poranna mgła, niemniej wyraźnie widział w oddali wysoki, bluźnierczy dom na szczycie góry; ściany szare jak skała i wysoki spadzisty dach rysujący się wyraźnie i dumnie pośród mlecznej bieli gęstych morskich mgieł. Zauważył, że od tej strony w ścianie nie było drzwi, a jedynie dwoje żebrowanych małych okien o okrągłych ołowiowych szybkach tak typowych dla siedemnastowiecznego stylu.

Otaczały go chmury i chaos – w dole nie było nic prócz jednolitej, bezkresnej bieli. Był sam, zagubiony pośród niebios, w towarzystwie osobliwego, nader dziwnego domu, a kiedy obszedł budynek od frontu i zobaczył ścianę zlewającą się z pionową ścianą klifu, zdał sobie sprawę, że do jedynek wąskich drzwi można było się dostać wyłącznie z powietrza. Wtedy poczuł lęk, odległe muśnięcie zgrozy, której przyczyny nie był w stanie dokładnie określić. Wydało mu się również dziwne że gonty, tak mocno nadżarte przez robactwo nie obróciły się do tej pory w proch, ani że cegły, spękane i zmurszałe wciąż tworzyły stojący pionowo komin.

Kiedy mgły zgęstniały, Olney podkraść się do okien, po kolei od północy, zachodu i południa i spróbował je otworzyć, lecz wszystkie były zamknięte na głucho. W głębi serca ucieszył się, gdyż im bardziej przyglądał się temu domowi, tym mniejszą miał ochotę by wejść do środka. Nagle usłyszał jakiś dźwięk i mimowolnie zastygł w bezruchu. Rozległ się grzechot zamka i szcęk zasuw, i długie przeciągłe skrzypnięcie jakby powoli, ostrożnie uchylały się ciężkie drzwi. Dochodził od strony oceanu,

tej której nie widział, jakby na wysokości kilku tysięcy stóp nad falami, pośród tonącego w oparach mgieł nieba, otwarło się wąskie wejście.

Potem z wnętrza domu dobiegło ciężkie, rozważne stąpanie i Olney usłyszał odgłos otwieranych okien, najpierw od strony północnej, naprzeciw niego, a potem od zachodu, tuż za rogiem, następne będą okna południowe, pod ogromnym, niskim okapem dachu gdzie się obecnie znajdował i należy stwierdzić, iż Olney poczuł się nader niezręcznie, uświadomiwszy sobie że z jednej strony miał obmierzły dom, z drugiej zaś bezdenną, jak się wydawało, przepaść. Kiedy usłyszał odgłosy gmerania przy kwaterowym oknie, ponownie podkradł się do zachodniej ściany i przywarł plecami do muru. nie ulegało wątpliwości, że gospodarz wrócił do domu – nie nadszedł jednak od strony lądu; nie przyleciał również balonem ani aeroplanem. Kroki znów się rozległy, a Olney podkradł się do północnej ściany, zanim jednak zdążył znaleźć w pionowej skale oparcie dla stóp, usłyszał miękki głos i zrozumiał, że musiał zostać zauważony przez Gospodarza.

Z zachodniego okna wychylała się olbrzymia, okolona czarną brodą twarz, której oczy lśniły wspomnieniami rzeczy nie znanych żadnemu innemu śmiertelnikowi. Głos był jednak łagodny i typowy dla ludzi których życie przepojone jest pasją ciągłego zdobywania wiedzy, toteż Olney nie zadrżał kiedy ogorzała dłoń wyciągnęła się ku niemu, by pomóc mu wejść przez okno do niskiego pokoju wyłożonego czarną dębiną i ozdobionego meblami w stylu Tudorów.

Mężczyzna miał na sobie bardzo stare odzienie i roztaczał nieuchwytną aurę dalekich morskich podróży i snów o wielkomasztowych galeonach.

Mały pokój wydawał się zielony w delikatnym wodnistym świetle; Olney zauważył że okna od wschodniej strony, o matowych grubych

szybkach jak denka starych butelek, nie były otwarte lecz zamknięte na głucho. Po drugiej stronie kłębiły się opary mlecznego eteru.

Brodaty gospodarz wydawał się młody, niemniej jego oczy i spojrzenie świadczyły że musiał zgłębić liczne starsze tajemnice, a z opowieści o cudownych, prastarych rzeczach którymi się dzielił, można było wywnioskować że mieszkańcy miasteczka mieli rację twierdząc, iż z dawien dawna komunikował się z morskimi mgłami i niebieskimi chmurami, że był tu zanim jeszcze u stóp tej góry powstała osada, której mieszkańcy od pokoleń byli świadkami jego milczącej, pustelniczej obecności na odludnym szczycie wyniosłej turni. Dzień przemijał, a Olney słuchał opowieści z odległych miejsc i zamierzchłych czasów: dowiedział się jak ludy Atlantydy walczyły z oślizgłymi bluźnierstwami, które wypełzły ze szczelin w dnie oceanu i jak zabłąkane statki od czasu do czasu dostrzegają błyski porośniętej chwastami, ozdobionej wyniosłymi kolumnadami Świątyni Posejdona, a dzięki temu widokowi ich kapitanowie uświadamiają sobie, że zmylili kurs. Przypomniane zostały również czasy Tytanów, choć Gospodarz wyraźnie wahał się opowiadając o mrocznym, pierwszym wieku chaosu przed narodzinami bogów, czy nawet Starszych Istot, kiedy INNI BOGOWIE przybywali by tańczyć na szczycie Matheykla, na kamienistej pustyni niedaleko Ultharu za rzeką Skai.

W tym momencie rozległo się pukanie do drzwi; do tych prastarych drzwi z nabijanego ćwiekami dębu za którymi rozciągała się jedynie otchłań białych chmur. Olney drgnął, zaniepokojony, ale brodacze dał mu znak by się nie ruszał i na palcach podkradł się ku drzwiom, by wyjrzeć przez maleńki judasz. To co ujrzał, najwyraźniej nie przypadło mu do gustu, bo przyłożył palce do ust i stąpając cicho przeszedł przez pokój, pozamykał starannie wszystkie okna i powrócił na starą ławę. by przysiąść obok swego gościa.

Zaraz potem Olney dostrzegł za przezroczystymi szyi) karni małych ołowianych okien przesuwanymi się szybko osobliwy czarny kształt, który okrążył dom wkoło i w chwilę później zniknął. Czuł zadowolenie, że jego gospodarz nie odpowiedział na pukanie. W wielkiej otchłani istnieją bowiem dziwne istoty, a wędrowiec musi bardzo uważać, by nie rozdrażnić bądź nie napotkać tych niewłaściwych.

Niebawem cienie zaczęły uzurpować sobie coraz większą przestrzeń – najpierw wąskie i ukradkowe kładące się pod stołem, następnie śmielsze zajmujące kąty pod obitymi dębową boazerią ścianami. Brodacz począł wykonywać enigmatyczne, modlitewne gesty i zapalił wysokie świece umieszczone w osobliwie wygiętych, mosiężnych lichtarzach. Często zerkał na drzwi, jakby oczekiwał czyjejś wizyty, aż w końcu na jego spojrzenie odpowiedzią to ostre stukanie w charakterystyczny sposób, który miał być zapewne jakimś bardzo starym, sekretnym kodem. Tym razem nawet nie spojrział przez judasza, lecz uniósł wielki drewniany skobel, odciągnął zasuwę i otworzył ciężkie drzwi na oścież ukazując kłębiące się za nimi mgły i mrugające gwiazdy.

I wtedy, przy wtórze dziwnej melodii, do pokoju na płynęły z głębin wszelkie sny i wspomnienia Wielkich, którzy zeszli na dno oceanów. Pośród skłębionych wodorostów zakwitły złote płomienie, a Olney oszołomiony i zdumiony, mimowolnie oddał im cześć. Rył lam neptun dzierżący trójząb, zwinne i chyże trytony, fantastyczne nereidy, zaś na grzbietach delfinów balansowała ogromna, karbowana muszla w której zasiadał pierwotny Nodeus, Pan Wielkiej Otchłani. Konchy trytonów zagrały osobliwie, a nereidy wydały dziwne dźwięki uderzając w groteskowe, rezonujące muszle nieznanymi mieszkańcami czarnych, podmorskich jaskiń. Wówczas sędziwy Nodeus wyciągnął pomarszczoną dłoń i pomógł Olneyowi oraz Gospodarzowi wsiąść do olbrzymich muszli,

na co konchy i gongi rozbrzmiały dzikim, przeraźliwym łoskotem. Później zaś, ten bajeczny pociąg pomknął w bezmiar eteru przy wtórze hałasu, który wkrótce utonął pośród huku gromów.

Przez całą noc mieszkańcy Kingsport obserwowali strzelistą górę, kiedy tylko było ją widać poprzez mgły i szalejącą burzę, a gdy nad ranem światło w małych okienkach zgasło poczęli szeptać o zgrozie i nieszczęściu. Dzieci Olneya i jego gruba żona modliły się do łaskawego i dobrotliwego Boga Baptistów i miały nadzieję, że wędrowiec pożyczycy skądś parasol i kalosze – chyba że do rana przestanie padać. Wreszcie nastał świt, kończąc paskudną ulewę i wyciskając z morskich fal opary mgieł, zaś pośród białego eteru rozległo się znajome, posępne brzmienie dzwonków boi. W południe, gdy nad oceanem przetoczył się ryk syren, od strony góry powrócił do Kingsport Olney – suchy i rześki, z oczyma przepelnionymi widokiem odległych, bajecznych miejsc, nie pamiętał o czym śnił w dziwnym, wysokim domu należącym do wciąż bezimiennego pustelnika, ani jak udało mu się zejść po stromej ścianie klifu, której nigdy dotąd nie pokonał żaden śmiertelnik, nie rozmawiał o tym, czego doświadczył z nikim, za wyjątkiem Przeróżającego Starucha, który później mamrotał nader dziwne rzeczy w swoją długą siwą brodę; gotów był przysiąc, że człowiek, który zszedł ze szczytu góry nie był w zupełności tym samym mężczyzną, który się na nią wspinał i że gdzieś pod owym szarym stromym dachem lub w bezkresnych oparach owych złowieszczych białych mgieł, pozostała na zawsze zagubiona dusza tego, który nazywał się Thomas Olney.

Od tej pory, jak zawsze, przez całe lata swego długiego i nudnego, pełnego trudów i mozółu życia filozof pracuje, je, sypia i bez jednego choćby słowa skargi wypełnia wszystkie powinności prawego obywatela, nie tęskni już za magią odległych wzgórz ani nie wzdycha za tajemnicami,

które niczym zielone rafy wyzierają z bezdennej morskiej otchłani, nie smuci się odtąd monotonią swoich dni, a uporządkowane, rzeczowe myśli i logika zaspokajają stępiony głód jego wyobraźni.

Jego gruba żona przybiera na wadze jeszcze bardziej, a dzieci dorastają, stają się bardziej prozaiczne, znudzone i zajmują się pracą. Na ustach mężczyzny, zawsze kiedy tylko nadarzy się taka okazja, wykwita uśmiezek dumy. W jego spojrzeniu nie ma już jednak niezaspokojonych pragnień i jeżeli kiedykolwiek nasłuchuje, pragnąc wychwycić posępne brzmienie dzwonek boi albo wycie syren mgielnych, to tylko nocami kiedy nawiedzają go sny z przeszłości. Nigdy już nie odwiedza Kingsport, bowiem jego rodzina nie lubi tamtych starych domów i ulewnych deszczów. Obecnie mają ładny bungalow w Bristol Mighlands, gdzie nie ma sięgających nieba kamiennych wieżyc a sąsiedzi są miastowi i nowocześni.

Ale w Kingsport krążą osobliwe historie i nawet Przeróżający Staruch przyznaje się do rzeczy, które jego dziadek skrzętnie przemilczał. Teraz bowiem, kiedy z północy wieje porywisty wiatr omiatając zuchwale wysoki, stary dom stanowiący jedność z niebiańskim firmamentem, złamana zostaje w końcu owa złowieszcza groźna cisza, która do tej pory była odwieczną plagą wszystkich mieszkańców Kingsport. Starzy ludzie mówią, że słycać dobiegające stamtąd przyjemne głosy – śpiewy i śmiech zawierające w sobie iście nieziemską radość, i niemal szeptem dodają że światła bijące z maleńkich okien zakazanej chaty są wieczorami znacznie jaśniejsze niż dotychczas. Powiadają również, że ta świetlista aurora częściej nawiedza to miejsce rozjaśniając niebo od północy silnym, błękitnym blaskiem zawierającym w sobie wizje skutych lodem światów, podczas gdy strzelista skała i wysoki dom na szczycie turni odcinają się czarno i osobliwie na tle tych nadnaturalnych zórz. Ponadto mgły o świcie

są gęściejsze, a marynarze nie są już do końca przekonani, czy wszystkie rozlegające się wśród skłębionych oparów dźwięki dzwonów pochodzą z boi wznoszących się posępnie na niewidocznych falach.

Najgorszy wszakże w tym wypadku jest zanik starych lęków w sercach młodych mieszkańców Kingsport, którzy dorastając słyszą nocami jak wiatr niesie ze sobą ciche, odległe dźwięki. Są gotowi przysiąc, że żadne zło ani ból nie mogą zamieszkać w domu na szczycie wysokiej skały, bowiem w tych nowych głosach wyraźnie słychać radość, a oprócz niej, dźwięczny, krystaliczny śmiech i muzykę, nie wiedzą jakie historie mogą przynieść na ten zakazany szczyt mgły podnoszące się z morskiej toni, ale pragną wydobyć choć cień informacji o gospodarzach.

Starzy obawiają się że któregoś dnia młodzi jeden po drugim zaczną szukać drogi na ten niedostępny szczyt na niebie i poznają sekrety wieków ukryte pod stromym spadzistym dachem domu, stanowiącego fragment skał, gwiazd i pradawnych lęków Kingsport. Nie mają wątpliwości, że ci odważni młodzieńcy powrócą, lecz możliwe jest że ich oczy utracą dawny blask, a z serc znikną wszelkie pragnienia i marzenia. Starzy nie chcą, by niezwykle Kingsport ze swymi stromymi alejkami i archaicznymi topolami, w miarę upływu lat, zmieniło się w osadę monotonii i duchowego rozkładu, podczas gdy głosy, ów tryskający śmiechem chór rozbrzmiewający wśród nieznanego i przerażającego przestworu, gdzie mgły i sny o mgłach odpoczywają w drodze z dna oceanu ku niebiosom, coraz bardziej miałyby przybierać na sile.

Nie pragną, by dusze młodych opuściły domowe ogniska i przytulne zakątki tawern starego Kingsport; nie chcą by śpiewy i śmiech rozlegające się wewnątrz dziwnego, wysokiego domu wśród mgieł stały się głośniejsze. Skoro bowiem jeden głos przywiódł znad morza tak gęste opary mgieł i jaskrawe północne zorze, – perorują starzy – kolejne ściagną ich jeszcze

więcej, aż być może któregoś razu starsi bogowie (o których istnieniu wspomina się jedynie szeptem, by nie usłyszał tego pastor kongregacji) powrócą z głębin i z nieznanego Kadath na skutym lodem pustkowiu, by zadomowić się na szczycie owego złego zakazanego klifu, skąd tak blisko do łagodnych wzgórz i dolin zamieszkałych przez prostych, statecznych rybaków.

Mię pragną tego, bowiem cisi, zwykli ludzie nie dążą do spotkania z istotami nie z tego świata, a poza tym Przeróżający Staruch często przypomina fragment opowieści Olneya o stukaniu, które tak bardzo przeraziło samotnego mieszkańca posępnego domu i o czarnym, wścibskim i natarczywym kształcie, który dostrzegł wśród białych oparów przez półprzeźroczyste okrągłe ołowiowe okna.

O rzeczach tych wszakże mogą decydować jedynie Starsze Istoty; a póki co poranne mgły wciąż podnosząc się z morza opływają samotną, stromą skałę, na szczycie której wznosi się stary dom, mieszkańców którego nikt nigdy nie widział, lecz w którym każdego wieczora, kiedy wiatry z północy poczynają snuć opowieści o niezwykłych biesiadach, zapalają się ukradkowe światła. Mgła, biała i eteryczna podnosi się z głębin zmierzając na spotkanie swych braci – chmur, pełna marzeń o podwodnych pastwiskach i jaskiniach Lewiatanów. Kiedy groty trytonów wypełnią się historiami, konchy w starych, zarośniętych wodorostami miastach wygrywają mroczne, dzikie melodie zasłyszane od Starszych Istot, z głębin, rażno, unosi się ku niebiosom gęsta, nabrzmiała opowieściami mgła; Kingsport zaś, usadowione na mniejszych skałach, poniżej tego przerażającego, strzelistego wartownika z kamienia, patrząc na ocean postrzega jedynie mistyczną biel, jakby brzeg klifu był zarazem skrajem świata, a pośród eterycznego, mlecznego bezmiaru raz po raz pobrzękują posępnie dzwonki boi.

